



Dzień pierwszy

Poloneza czas zacząć	str. 1
Słowem wstępu	str. 2
Marta Laaser	str. 3
Justyna Paluszyńska	str. 4
Krzysztof Przybylski	str. 5
Aleksandra Oktawia Mackiewicz	str. 6
Gustaw Puchała	str. 7
Marek Koczorowski	str. 8
Paula Jarmołowicz	str. 9
Piotr Torchała	str. 10
Marek Sadowski	str. 11
Koncert Natalii Sikory	str. 12

Minął kolejny rok, jak dla mnie szybciej i bardziej niespodziewanie, niż ubiegły. Znowu spotykamy się w słupskim Rondzie, by obejrzeć jed-

noosobowe spektakle. Tym razem mały jubileusz. To bowiem 55 Ogólnopolski Konkurs Recytatorski. Niestety, ten rok, to także czas pożegnania. W 2010 roku odszedł Wojciech Siemion - aktor, który w powojennej Polsce wyniósł na wyżyny mistrzostwa formę monodramu. Tytuł spektaklu „Wieża malowana” będzie długo kojarzył się z wirtuozerią jednoosobowego wykonania. Wraz ze śmiercią Wojciecha Siemiona pewien etap historii polskiego monodramu został zamknięty.

Nie będę po raz kolejny przytaczać stwierdzenia, że monodram to trudna, by nie powiedzieć piekielnie trudna forma artystyczna. Cały ciężar kreowania bohatera i jego świata spada na samotnego wykonawcę, a to nie proste, by w trakcie kilkudziesięciu minut z równym napięciem i zaciekawieniem trzymać uwagę widza. Rekompensata jest jednak pociągająca. Aktor sam na scenie ma pełną wolność twórczą, zarówno w wyborze tekstu, jak i środków wyrazu czy całej formy wypowiedzi.

Monodram jest bardzo atrakcyjny dla ruchu amatorskiego. Dużo trudniej przecież stworzyć zespół ludzi, których łączą wspólne gusty artystyczne, wspólne poszukiwania twórcze, którzy mają podobną wrażliwość i poczucie humoru. Łatwiej, a zarazem trudniej, samemu wyjść na scenę. Dla wielu (nie dla wszystkich) mierzenie się z monodramem, następuje po doświadczeniu z recytacją, czasem także po próbach z wywiedzionym ze słowa. Monodram jest bowiem najpełniejszą i najbardziej wymagającą formą. Trzeba do niej „dorosnąć”. W ruchu amatorskim obowiązuje jednak pewien constans. Od wielu lat na centralnym przeglądzie Ogólnopolskiego Konkursu Recytatorskiego można obejrzeć kilkanaście najlepszych przedstawień z Polski, wybranych spośród kilkudziesięciu. Trudno mi więc zgodzić się ze skądinąd wybitnym francuskim teatrologiem Patricem Pavis, który definiując monodram, podkreślał, że ta forma cieszyła się powodzeniem w XVIII wieku i na początku XX. A co z następnymi dziesięcioleciami? Pavis nigdy pewnie nie był w Zgorzelcu, we Wrocławiu czy Słupsku. Oczywiście, że na centralnym OKR są lata bardziej i mniej satysfakcjonujące jury i publiczność. Spektakle bardziej i mniej twórcze, odkrywcze. Liczy się jednak także chęć artystycznych poszukiwań, mierzenie się z tekstem, sceną, a przede wszystkim z samym sobą. Czasem udaje się wykreować poruszający świat. Zapewne i tegoroczny przegląd dostarczy nam wzruszeń i sporów, inspiracji i irytacji. Im będzie ich więcej, tym ciekawiej. Zaczynamy!!!

Słowem wstępu

Poloneza czas zacząć

Zaczęły się zmagania monodramistów. Żeby jednak tradycji stało się zadość, najpierw należy przedstawić jury i wprowadzić uczestników i „podglądaczy” Festiwalu w tematykę festiwalową wykładem inauguracyjnym. W tym roku w loży jurorskiej zasiadają prof. Irena Jun – cesarzowa monodramu, która na pytanie czy jest zachwycona, że uczestniczy w finałach 55 OKR bez wahania i głosem nie pozostawiającym wątpliwości, odpowiedziała TAK!, Wiesław Geras – kamień węgielny turnieju, który nie czuje się przytłoczony gmachem, jaki na owym kamieniu powstał, prof. Jan Zdziarski – arcybiskup mowy polskiej, nie potrafiący jednak odpowiedzieć na pytanie dokąd zmierza jego język... Lakonicznie rzekł: zgłupiałem. Ostatnim, ale równie miłym naszemu sercu ;) ogniwem jury jest Marcin Bortkiewicz – wszech aktor i wszech reżyser, który pojawił się w Słupsku, by założyć księgę wieczystą swojego mieszkania a liczy, że będzie zabawnie. Czy monodramiści wypełnią jego oczekiwania? W tym roku wspominać przyszło Krzysztofowi Kucharskiemu. To jedna z nielicznych osób w Polsce, która śledzi poczynania monodramistów od 40 lat!!! Z równą ciekawością, życzliwością, ale i konstruktywną krytyką przygląda się dzisiejszym wykonawcom.

Krzysztof wystąpił w roli świadka i „przywoływacza” pamięci. Nie mogło więc zabraknąć wspomnienia o Wojciechu Siemionie. Zostali przywołani też najlepsi monodramiści i ich instruktorzy, którzy słowo amator wynieśli na wyżyny artystyczne. Myślę, że w bardzo interesującej wypowiedzi Krzysztofa najważniejsze były słowa skierowane wprost do wykonawców. Zachęcał, by zachowali dystans i pokorę do tego, co robią, by nie zachłysnęli się powodzeniem i ewentualnym sukcesem. Może to banał, a jednak często trzeba go przypominać. Instruktorzy zaś powinni być czujni i wrażliwi na wykonawców, którzy mają w sobie potencjał, mają osobowość sceniczną i mogą zaistnieć w tej trudnej formie artystycznej jaką jest monodram. Czy do listy utalentowanych wykonawców i mądrych instruktorów Krzysztof dopisze w tym roku następne nazwiska?

eFKa



Marta Laaser

"Bal w operze"

„Dzisiaj wielki bal w operze...”



I co dalej?



Musieliśmy poczekać kilka chwil, zanim usłyszeliśmy w pełni frazę otwierającą utwór Juliana Tuwima. Proces „rodzenia się” tego wersu opatrzony był przez aktorkę rewią figur i środków udowodniających niewątpliwie zdolności młodej monodramistki. Widoczna ekspresja i dyscyplina rytmiczna, niekiedy osłabiana przez widoczne zdenerwowanie wykonawczynie, stanowi bezsprzecznie atut tego spektaklu.

Jednak czy nie jest tak, że pytanie o „jak?” i realizacja formalna winna stanowić ostatni etap w przygotowaniu propozycji?

Jeśli nawet aktorka (Marta Laaser) i jej reżyser (Radosław Ciecholewski) zadali sobie trud dochodzenia do odpowiedzi na pytanie „co?”, a przede wszystkim „po co?”, to sprawa nie przebiła się przez działanie aktorki. Tym samym nie dostałem informacji, czego wykonawczynie ode mnie chce, czego oczekuje i gdzie chce mnie zabrać? Rzecz działa się, jak mniemam w pralni, a całość była refleksją znerwicowanej pracownicy. Z ustawionej na scenie dużej, metalowej balii wyciąga kolejne elementy bielizny ilustrujące przywoływane w tekście postacie. Jednak znowu, im dalej w działaniach, tym bardziej nie wiem o co chodzi. Dlaczego dla grającej przede mną aktorki jest tak ważne, że zajmuje mi czas swoim występem.

Nawiązując do metaforyki, jaką wprowadziła współprowadząca „Sam na scenie” Elżbieta Cherezińska (Elu! Uwielbiam Cię!), myślę, że po tym spotkaniu z Martą Laaser – aktorką monodramu „Bal w operze” – nie wybrałbym się z nią w podróż kolejną czy podczepił jej wagonu do mojej lokomotywy. Do Lublina wraca się trzynaście godzin, w porywach do dwustu, a my nie mielibyśmy chyba o czym porozmawiać.

maTNow



A widownia na to...

- Nie można zabić Tuwima, bo za co?
- Świetne poczucie rytmu abstrakcyjnego.
- Bardzo ciekawa zabawa rytmiczna - warsztatowa.
- Jakbyście mieli kompleks komiksu.
- Potrafi pokazać pastiz.



Justyna Paluszyńska

"Spisek przy trzepaku"

"Śladów nie zauważono, ze względu, iż obok stała kufka wody"

A widownia na to...

- Ciekawe, bo prawdziwe. Plus za ulotki i kontakt z widzami.
- Bardzo ciekawa PRL-owska historia.
- Chciałam zobaczyć jak się skończy.
- Mało ekspresji, lecz ciekawy pomysł.
- Ciekawe, chociaż pozostał niedosyt.

Coś na czasie, czyli teczki, akta, niewyjaśnione sprawy.

Debiut aktorski i reżyserski. Do tego obowiązkowo krzesło, stół oraz (jak słusznie zauważył Pan Konferansjer :)) TECZKI. Aktorka wkładała, wykladała, wkładała, wykladała... akta, ale dodatkowo opowiadała dość dziwną, lecz realną historię. A wszystko przez sześć nastolatek, które ok. 40 lat temu postawiły na nogi całą plocką Służbę Bezpieczeństwa. Zakładając Klub Sprawiedliwych, obrały sobie wspólny cel – walkę o wolność. Działały w konspiracji, pod przysięgą, udawało im się pozostać niezauważonymi. Do czasu. Tak naprawdę, gdyby nie ulotki w obronie studentów, możliwe że ich wspólnota działałaby o wiele dłużej. Plocka SB jednak postawiła sobie za punkt honoru, odkrycie kim są osoby działające w Klubie Sprawiedliwych i rozpoczęła jedno z największych śledztw w swojej historii. Po wielu nieudanych próbach odnalezienia działaczek, funkcjonariuszom w końcu udało się doprowadzić sprawę do końca. Zatrzymano sześć dziewczyn: Joannę, Halinę, Krystynę, Grażynę, Teodorę i Barbarę. Najstarsza wtedy miała 18 lat, najmłodsza 15. Po kilkudziesięciu latach, żadna z nich nie zdecydowała się opowiedzieć o swojej historii. Wielu może to dziwić, bo przecież dziewczyny cechowała ogromna odwaga, upór w dążeniu do odzyskania wolności... a jednak. Przyjaźń, jak i cała historia związana z Klubem Sprawiedliwych skończyła się wraz z zamknięciem śledztwa. My widzowie również zostaliśmy potraktowani dość okrutnie, ponieważ myśląc, że dowiemy się czegoś więcej na temat całego zajścia...nagle straciliśmy z oczu aktorkę, scenę pokryła ciemność, a w głowie kołatało się pytanie: czy ta historia naprawdę się zdarzyła? Justyna sprytnie przeprowadziła nas przez cały przebieg śledztwa, momentami mogliśmy przenieść się do okresu, w którym działa się akcja. Oczywiście zaintrygował mnie główny motyw dotyczący działań SB, jednak moją uwagę zwróciła wielka inicjatywa szóstki (wydawałoby się normalnych) dziewcząt. Przepiękna musiała być siła ich przyjaźni, siła, dzięki której wspólnie działały w imię wolności, a także dzięki której chciały dojść do wcześniej obranego celu. Chociaż nie został on zrealizowany, to jednak usłyszeliśmy o nich (więc po części plan został zrealizowany?). Ja osobiście „wkręciłam się” w opowiadaną przez aktorkę opowieść, chciałam wiedzieć więcej i więcej. A czy Wy, drodzy czytelnicy, też chcielibyście dowiedzieć się co zdarzyło się dalej ???



Siostra bez-endu C

Krzysztof Przybylski

"Amok, moja dziecinada"



Średnio osiemnaście minut, 26 sekund



Czerwony fotel stojący samotnie w półmroku, a na nim skulony przedstawiciel kwiatu młodzieży. Opowiada nam historię, która może być z pozoru o każdym dorastającym chłopaku. Nie ma on więzi z rodzicami, to co ich łączy można nazwać pseudo-komunikacją. Nie widzą oni lub też nie chcą widzieć problemów swojego syna, powtarzają jedynie: „nie narzekaj”. Głębia jego osamotnienia dociera do widza dopiero, gdy okazuje się, że ani matka ani ojciec nie zauważają licznych blizn na ciele jedyne dziecko, nawet gdy na nowe okaleczenia brakuje już miejsca. A gdy rodzicielka przyłapuje młodego bohatera na ryciu swastyki na śmietniku – po prostu przygląda się temu w milczeniu. Nagromadzenie negatywnych uczuć w chłopaku, znajduje ujście w najgorszym ze sposobów. Jak każdego

dnia idzie do szkoły, lecz tym razem w jego plecaku nie ma książek, tylko maska, pistolet i naboje...

Tak przedstawia się monodram pt. „Amok, moja dziecinada” (na podstawie dramatu Thomasa Freyera o tym samym tytule). Na scenie wystawił go Krzysztof Przybylski z Inowrocławia, uczeń trzeciej klasy liceum. monodram wyreżyserowany został przez Elżbietę Piniewską. Niestety ten trzydziestominutowy spektakl nie porwał publiczności. Młody aktor mówił monotonnie, a jedynym co utrzymywało zainteresowanie widza, był ciągły ruch licealisty, który również po jakimś czasie stawał się nieciekawym. Dramatyzm w momentach traktujących o masochistycznych rytuałach bohatera, miast grą aktorską, budowany był muzyką i grą światła. Licealiście nie udało się również zbudować potrzebnego napięcia do punktu kulminacyjnego monodramu i podczas finału na widowni rozległo się kilka krótkich śmiechów. Największe emocje w widzu wydawały się wzbudzić jedynie liczby podane na samym końcu – »przelano czternaście litrów i dwieście siedemdziesiąt cztery mililitry krwi, a każda z trafionych osób umierała średnio osiemnaście minut i dwadzieścia sześć sekund« - jednakże tych słów już nie wypowiadał aktor.

miho



A widownia na to...

- Mi zaczynają błyszczeć oczy, kiedy wiem, że on ma wyjść i zacząć mordować.
- To było wymyślone w Ciebie, a Ty w to.
- Pauzy zaskakująco przekonywujące
- Przewaga literatury nad realizacją.
- Pompki świetne.



Aleksandra Oktawia Mackiewicz

"Skąd się bierze taka wiara?"

„Co mnie nie zabije, to mnie wzmocni”

A widownia na to...

- Jak przedstawienie trwa dwadzieścia minut, to ważny jest każdy element
- Zbliżenie między kochankami bardzo mi się podobało.
- Tekst na granicy kiczu.
- Więcej obiecywała mi ta scenografa, niż dała.
- Pięknie plastyczne, tylko...

Never ending story



Dwa okna, skakanka, niebieski szal. Wystarczy, by wykreować piękny poetycki obraz. Okno jest symbolem dwóch światów: zewnętrznej rzeczywistości i świata wewnętrznego. Okno to znak, który sugeruje, że przed nim i za nim rozgrywają się różne zdarzenia. Mogą one na siebie wpływać, uzupełniać się lub też drastycznie się rozdzielać. Przychodzą mi na myśl okna Kantora – jego ready made, które wielokrotnie wprowadzał do kreowanej rzeczywistości. Szkoda, że nie nazbyt wyraźnie wybrzmiał ten rekwizyt w spektaklu Aleksandry Oktawii Mackiewicz. Przedstawienie zatytułowane „Skąd się bierze taka wiara?” w reżyserii Jolanty Hinc-Mackiewicz (zbieżność nazwisk

nieprzypadkowa), to spektakl o braku: braku miłości matki, braku miłości mężczyzny, braku miłości do własnego życia, a może samej siebie. Aleksandra Mackiewicz ma potencjał aktorski, cenię jej plastyczność gestów i emocjonalność – taką, która przynależy bardzo młodym ludziom, odbierającym świat mocno, intensywnie, często czarno-biało. Myślę, że na scenie trzeba ją jednak powściągnąć, ujarzmić, by poprzez nadmierną ekspresję nie wywołać przeciwnego do zamierzonego wrażenia. Czasem eksponowana zbyt intensywnie tragiczność po prostu boli.

Zawsze pociąga mnie, jeśli za pomocą jednego rekwizytu, aktor potrafi stworzyć na scenie różne obrazy. Tutaj przyciągająca uwagę widza była niebieska chustka. Raz stawała się skrzydłem anioła, innym razem sukienką matki, potem szmatą do mycia podłogi, czy częścią kostiumu bohaterki. Czegoś jednak brak w tej intymnej wypowiedzi, wiele scen nie zazębia się i nie klei... początek lepszy, koniec gorszy. Aleksandra Mackiewicz jest bardzo młodą wykonawczynią. Mam więc nadzieję, że wiele jeszcze przed nią poszukiwań artystycznych, a każde kolejne będzie zyskiwać większą dojrzałość. Nawiązując do tytułu monodramu, jest we mnie wiara w Olę!



eFka

Gustaw Puchała

„A jak królem, a jak katem będziesz”

„(...) mnie co raz częściej ciągnęło do bab.”



„Piotr”



Rozważań o życiu, miłości, śmierci, ludzkich narodzinach i odpowiedzialności za swe czyny podjął się Gustaw Puchała z Żyrardowa w monodramie pt: „Piotr” w reżyserii Hanny Fibich.

Strój aktora i skromna scenografia przenoszą widza w realia wiejskie, gdzie młody mężczyzna imieniem Piotr opowiada o pierwszych fascynacjach kobietami, mówi o zauroczeniu m.in. Helą, córką sąsiada czy sołtysa. Młodzieniec chciałby „zaciągnąć te dziewczyny na siano”, lecz niestety one mu odmawiają. Hmm... ciekawe dlaczego?

Na nic zdaję się nawet podryw „na jabłko”, którym Piotr próbował oczarować swe wybranki (Gustaw zaś na zakończenie swego monodramu obdarował nimi publiczność- zobaczmy jaki efekt przyniesie mu tak szczodra postawa). Ostatecznie chłopak żeni się z Helą, lecz wkrótce ich sielankowa miłość zostaje brutalnie przerwana przez wojnę, w której Piotr zmuszony był uczestniczyć. To wydarzenie ma przełomowy wpływ na bohatera, co sprawia, że chłopak nie potrafi uporać się z poczuciem winy za przelaną tam krew in-

nych ludzi, za śmierć, której był sprawcą. W tym momencie spektakl traci swoją poprzednią, delikatną i młodzieńczą humorystykę i dotyka co raz to poważniejszych problemów, widzimy dojrzewanie i przemianę wewnętrzną bohatera. Piotr przyznaje się do własnych lęków, do strachu przed odpowiedzialnością za nowonarodzonego syna, przejmujących do wyrzutów sumienia i życiowej dezorientacji.

Spektakl ten jest skromny pod względem scenografii i rekwizytów, stateczny w kwestiach ruchowych, obfity zaś w słowo, różnorodne emocje i kilogramy jabłek, które ochoczo skonsumowała publiczność oczekująca kolejnych spektaklów w foyer Teatru Rondo. Niezrozumiałym dla mnie jednak pozostało zakończenie, które nie wskazało mi punktu, do którego zmierzały rozważania bohatera. Czy Piotr/Gustaw chciał jedynie podzielić się swoimi problemami, czy też próbował znaleźć na nie konkretne odpowiedzi?

Gustawa cechowała na scenie godna podziwu naturalność i lekkość, zaś cały spektakl wywarł na mnie pozytywne wrażenie.

siostra bez-endu G



A widownia na to...

- Właściwie nałożona skóra tej postaci na Twoje ciało.

- Najlepszy jeśli chodzi o literaturę, najlepszy tekst grany dzisiaj.

- Dajesz przykład nieumiejętności wbicia gwoźdźcia.

- Zmienić koszyk. Nie damski koszyk, a kobiałka.

- Coś jest w tych jabłkach zjedzonego.



Marek Koczorowski

„Warszawa dla niepalących”

„Co się stało, co się stało? – pociąg nie przyjechał.”

A widownia na to...

- Czy to jest aż tak istotny tekst, aby wyjść z nim na scenę?
- Nic nie wynika, z tego, że masz problem, z rzucaniem palenia.
- Nie wierzę, żeby dziewczyna wyleczyła Cię z palenia.
- Tekst. Konkretnie błąd.
- Tak mam tu napisane - szkoda mi Marka.

Palić czy nie palić?



Monodram Marka Koczorowskiego w reżyserii Romana Krzywotulskiego to opowieść o facecie, który „z papierosem spędził więcej czasu niż z kobietą”. Bohater opowiada o tym, jak czekał na dworcu w Krakowie na pociąg, który miał go zawieźć do ukochanej, do Warszawy, a luba miała go oduczyć palenia. Niestety, pociąg opóźnił się najpierw o 15 minut, potem o 30 minut, aż w końcu został odwołany. No tak, uroki PKP... W międzyczasie wraz z bohaterem przekonujemy się o tym, że każdy palacz ma swoje mikrokrólestwo, że każdy niepalący si-

ada w przedziale dla palących, przez co tym drugim skutecznie utrudnia życie prosząc, by nie palili. Jesteśmy świadkami dantejskich scen na dworcu oraz poznajemy pewnego bardzo sympatycznego pana, który nie chadza zbyt prosto, a „który w domu nie ma problemów z alkoholem... bo pije na mieście”. Esencją monodramu jest to, że bohater „dziś jest w podróży między paleniem, a rzucaniem, między miłością, a samotnością”. I co dalej? To chyba tyle... Ja bynajmniej nie doszukałem się w „Warszawie dla niepalących” przesłania innego niż to, że miłość pomaga w rzuceniu nałogu, chociaż to też można zakwestionować. Osobiście uważam, że „Warszawa dla niepalących” była, owszem, momentami zabawna... Ale gimnastyka, którą Marek zrobił na początku, chyba nie dała zbyt wielkiego rezultatu.

„Pociąg osobowy z nałogu do miłości – odwołany”.

Myś



Paula Jarmołowicz

"Ja, baba stara"

„Ukarz mnie Panie!”



„Ja, stara baba” -czyli historia nieszczęśliwej kobiety.

Spektakl „Ja, stara baba” wyreżyserowany przez Anatola Wierzchowskiego w wykonaniu Pauli Jarmołowicz z Dębna, ukazuje historię starej kobiety przez pryzmat retrospekcji. Na początku jesteśmy świadkami spowiedzi kobiety pełnej żalu do siebie, swojej przeszłości i rodziny. Celina W. wyjmuje z worka wspomnienia, które wcale nie są przyjemne i nie łatwo jej się z nimi zmierzyć. Z czasem przysłuchujemy się rozmowie prowadzonej podczas rodzinnego spotkania, nie będącego sielanką. Podczas konwersacji dowiadujemy się, że rodzina nie szczędzi kobiecie zmartwień – jeżeli w ogóle ją czasem odwiedzi. Rola żony także nie jest łatwa. Mąż – hazardzista, trwoni ciężko zarobione pieniądze, a wychowanie dzieci pozostawia wyłącznie swej małżonce. Jako młoda dziewczyna, nie mająca świadomości o przyszłości jaką ją spotka, Celina wyobraża sobie przyszłe życie w samych pięknych kolorach, bez zmartwień i kłopotów. Widzowie jednak pamiętają o tym, co spotka ją w następnych, pełnych goryczy latach. Nie cieszą się na wieść o zaręczynach młodej, jeszcze wtedy Celiny Z., bo wiedzą że jej wybranek nie będzie księciem na białym koniu. Stara baba tęskni za przeszłością, chciałaby ją zmienić, chciałaby by deszcz zmył jej zmarszczki, by talerze nie zostały rozbite. Publika zareagowała na spektakl bardzo emocjonalnie. Złość, smutek i rozżalenie towarzyszące aktorce udzieliły się widzom, którzy wychodzili z sali trwając w zadumie. Oglądając ten monodram z punktu widzenia osoby mającej przed sobą całe życie, zastanawiałam się, jak będzie wyglądać moja przyszłość.

Młodzi ludzie, o optymistycznym spojrzeniu na świat, zazwyczaj nie odbiegają myślami do tak dalekiej przyszłości jaką jest starość. „Ja, baba stara” zmusza jednak do przemyśleń i nie pozostawia nikogo obojętnym. Pytania: czy moja przyszłość musi tak wyglądać? czy ja też tak skończę? czy moje życie przypomina egzystencję Celiny W.? Przez długi czas, jeszcze po zakończeniu spektaklu plątałam się w myślach. Dla mnie Paula w swojej kreacji momentami była przekonująca, a spektakl, mimo wielu puent i częstych dłużyzn naładowany emocjami.

A widownia na to...

- Drażniło mnie złe oświetlenie. Odp. ale to jest jakaś forma.
- One (światła) mi coś mówią, a ja nie rozumiem co one mi mówią.
- Długo byłem blisko tego przedstawienia.
- Nieporządek jest w spektaklu.
- Proszę o krótsze puste miejsca.



siostra bez-endu W



Piotr Torchała

"Szłoby"

"Oj synek!"

A widownia na to...

- Może my jesteśmy już starzy, ale w każdym razie potrzebujemy eksplikacji.
- Pan ma iskrę w oku. Od razu panu uwierzyłem.
- To co pan ma w sobie to jest ogromna wartość.
- Przebierasz się, bo lubisz.
- Jestem fanem tego przedstawienia.

Efektownie czy efekciarsko?



Powieść Wojciecha Kuczoka zatytułowana „Gnój” tuż po ukazaniu się na rynku wydawniczym, wzbudziła duże uznanie ze strony krytyków i czytelników. Wkrótce potem na jej podstawie Magda Piekorz nakręciła film „Pręgi”. Słyszałam już niejedno wykonanie fragmentów tej książki na konkursach recytatorskich. Zazwyczaj z bardzo dużym powodzeniem. Literatura jest dobra, tekst ma w sobie duży potencjał i daje wykonawcy szerokie możliwości. Pierwszy raz mogłam zobaczyć monodram na podstawie tej powieści. „Szłoby” to jednoosobowy spektakl w wykonaniu Piotra Trochały w reżyserii Katarzyny Maczel. Od pierwszej sceny aktor trzyma w napięciu publiczność. Wie, po co wyszedł na scenę i co chce nam przekazać. W pierwszej części widzimy ojca, jak ćwiczy

na siłowni, popija energetyczne napoje poprawiające muskulaturę ciała. Wygłasza monolog dając tzw. dobre rady synkowi - mięczakowi, słabeuszowi, którego nawet nie warto bić. Najważniejsze zasady to wybrać dobry samochód, rasową kobietę, a jeśli jeszcze jest stajnia - to pięknego konia. Piotr w tej części jest przekonujący, ciekawy aktorsko. Następnie powoli zdejmuje sportowe ubranie, by przebrać się na oczach widzów w damskie fatalaszki, nałożyć perukę, uszminkować usta i wciąż powtarzać swoje rady. Nieco tragicznie brzmią ostatnie słowa: „synek, obyś wybrał lepiej niż ja”. Czyli ten pewien siebie facet z siłowni wcale nie jest taki twardy, nie ma jasno zakreślonej osobowości? Sam jest nieszczęśliwy i stąd wynikają jego frustracje i negatywny stosunek do syna?

Pozostałam z pytaniem, które zostawiam także czytelnikom: czy to było efektowne czy efekciarskie? Czy to nie jest nadinterpretacja Kuczoka? Niewątpliwie jednak, Piotr jest osobowością sceniczną.



eFKa

Marek Sadowski

"Dylemat niebieski"

„Co ja mam powiedzieć, co ja mam im powiedzieć...”



Monodram Marka Sadowskiego „Dylemat niebieski”



Zabawne. Bardzo przyjemne dwadzieścia kilka minut. Niby dylematy („niebieskie”) księdza, który minął się z powołaniem lub powołanie to całkowicie go przerosło. Niby słodko – gorzka refleksja na temat współczesnego życia. Niby spowiedź zakompleksionego i poszukującego kleroika. W końcu – niby monodram... Dlaczego? Bo dla mnie to bardzo zgrabny skecz, nie monodram, który szczerze mnie ubawił. A może się czepiam? Parafrazując tekst Marka Sadowskiego, autora monodramu, „co ja mam napisać, co ja mam napisać...”

Na scenie – „standard wyposażeniowy” – stolik i krzesło. Poza tym – degustacja (wódka i ciasto drożdżowe). Tajemnicę postaci rozpracowała w połowie przedstawienia moja redakcyjna koleżanka, więc kiedy wszystko stało się jasne, żarty zaczynały się wyczerpywać, intonacja stała się przewidywalna, zabawy było trochę mniej.

W przypadku tego spektaklu mam prośbę o więcej. Oczekiwałem zaskoczenia, jakiegoś zwrotu. Tak jak napisałem w wstępie.



maTNow

A widownia na to...

- Ciekawo by mnie, jak to zjawisko zwane Markiem poradziło by sobie w innym tekście (Marek: mówilem Kofakowskiemu).

- Jest pan świetnym artystą kabaretowym.
- Jedyny spektakl pod względem świadomości słowa.
- Chęć byda rozumianym przełamuje barierę warsztatu.

Recital Natalii Sikory

„Norwidzie wiek Twój idzie”.

„Przykryjcie mnie lepiej”. Tak według świadków miały brzmieć ostatnie słowa Cypriana Kamila Norwida, nim obróciwszy się do ściany, dokonał żywota w paryskim przytułku. Nie wierzę, by Norwid w tych słowach nie zawarł swoistego testamentu dla przyszłych pokoleń, a co za tym idzie interpretatorów jego twórczości. „Przykryjcie mnie...” brzmi jak wezwanie do oddania jego twórczości należytego szacunku i namysłu. Ze znanych mi osób, które wydają się tę misję wypełniać, wymienić mogę działalność Mistrzyni Słowa Ireny Jun. Jej monodram „Jest źródło” to świadectwo norwidowskiej filozofii życia i twórczości. Interpretacje Ireny Jun nie pozostawiają wątpliwości. A wykonanie „Bema pamięci żałobnego rapsodu” w finałowej scenie nie pozwala ochłonać.

Jestem szczęśliwy i dumny, że w czasie „Sam na scenie” poznałem kolejną osobą, która do prezentowania twórczości czwartego Wieszcza jest bezwątpienia predestynowana. Natalia Sikora, gość słupskiego festiwalu, w swym śpiewie udowodniła, że teksty poety żyją. Wspomniana Irena Jun powiedziała kiedyś na warsztatach



poświęconych poezji Norwida, że jego poezja nie jest do zachwycania, wzruszania czy nawet poruszania. Przekaz poety ma wstrząsać i mącić nasz spokój. Natalia Sikora ma w głosie coś takiego, co doskonale tę misję spełnia. Nie podejmuje się oceny recitalu, kolejnych wykonania. Nie mogę.

Zdecydowane tak albo absolutnie. Bez półśrodków. „I zagrałem. I jeszcze mi smutniej.”

eFKa